

Piach pod skórą

Zostałam z workiem prawd, w których grzebię i które badam. Nie wiem, czy kiedyś dobrnę do sedna. Dołączę do długiego orszaku osób, które zawiodły babcię. Przyszła do mnie we śnie, trzykrotnie. Za każdym razem chciała mi coś przekazać, a ja ją zawiodłam, nie zrozumiałam do końca jej słów i ciszy.

Właściwie była moją prababcią i nie pamiętam jej zbyt dobrze. W moim umyśle funkcjonuje już tylko jako skorupa człowieka, pozostałość po dawnym ciele i zdrowiu. Była bardzo drobna, a jej twarz pokrywała siateczka zmarszczek, skoncentrowanych szczególnie wokół oczu i ust. Włosów miała co prawda niewiele, ale były – i to zawsze elegancko ułożone w popularne wśród starszych pań loki od papilotów.

W pierwszym śnie jedziemy pociągiem. Zjawiam się w wagonie jakby spóźniona, ona już tam siedzi, wystukując prosty rytm palcami o stolik. Coś nuci. Patrzy się za okno. Zwraca na mnie uwagę dopiero, gdy ostrożnie zajmuję miejsce naprzeciw niej.

– Nie znasz Mozarta, powiadasz? – pyta, a w pytaniu mieszają się intencje, które trudno mi odczytać. Czy jest jej wstyd, że jej prawnuczka jest niedouczona? Czy kryje się za tym pytaniem ciekawość? Poblężanie? Czy też winę za nieznaną twórczości wiedeńskiego boga uznaje za znak czasu, przenosząc winę z prawnuczki na zepsuty XXI wiek?

Nie wiem.

– Znam babciu. Nie za dobrze, ale znam. Nigdy nie miałam ucha do muzyki.

Ona się śmieje.

Cicho, jak dama. Unosi dłoń i pociera kciukiem nos. Mój ojciec odziedziczył po niej ten gest. Wykonuje go bezwiednie, gdy wpada w refleksyjny nastrój.

– Najsmutniejszą rzeczą, która spotkała mnie na starość jest to, że nie mogę grać na pianinie.

Potakuję smutno głową. Babcia unosi dłonie, pokazuje mi je, otwarte, z powyginanymi palcami.

– Patrz. – mówi.

I prawie mogę poczuć ból stawów, to dziwne wykręcenie palców staje się moim udziałem. Ale potem dzieje się coś dziwnego, sen traci realizm. Dłonie babci zaczynają się rozciągać, jakby roztopiać, wydłużają się i przebijają przez dach pociągu. Przypominają teraz korzenie. Babcia znika, a w jej miejsce pojawia się wielkie drzewo. Coś mi podpowiada, że

jesteśmy sami w pociągu, ja i ono. Inne przedziały są puste. Za oknem przesuwa się zielony krajobraz. Wyciągam dłoń i dotykam chropowatej kory. W tle słychać muzykę.

Grają Mozarta.

Drugi sen zaczyna się wraz z przebudzeniem. Leżę w nim na łóżku, otwieram oczy. Babcia krząta się po chatce, przygotowując jedzenie. Rozglądam się: jestem w prostym pomieszczeniu, o drewnianej podłodze i niewielkich, nieszczelnych oknach. Miejsce sprawia wrażenie prymitywnego. Nie wiem, gdzie się znalazłam. Na podłodze leży piasek. Widzę, jak odbijają się w nim promienie słońca. Drobinki piasku połyskują. Podłoga jest szorstka, wytarta. To przez ten piasek, myślę. Zadziałał jak papier ścierny.

To prosty sen, jeden z tych słonecznych. Przez szyby o brudnym szkle sączy się światło poranka. Promienie o różnych kolorach grają na ścianach. Cisza. Słychać tylko śpiew ptaków za oknem i odgłosy krzątania babci. Cisza, spokój.

To taki słoneczny sen.

Tym razem nie rozmawiamy, zagadki pozostawione przez babcię nie kryją się w jej słowach, jak to było w przypadku onirycznej sceny w pociągu. Teraz jej duch próbuje mi coś przekazać przez zmysły: wzrok, węch, słuch, dotyk. Muszę stać się najczulszym aparatem, skomplikowanym urządzeniem, które wychwyci najsubtelniejszą zmianę w powietrzu. Nastrajam się i czekam. Słucham, jestem otwarta.

Nic się w tym śnie nie wydarza. Nie padają żadne słowa.

Czuję. Całą sobą wchłaniam w siebie ten poranek.

Co chcesz mi powiedzieć, babciu? Nawet nie widzę twojej twarzy... Ale wyczuwam cię, tuż obok. Twoja obecność kładzie się na moich barkach. Błogosławiony ciężar.

Spoczywa na moich ustach. Błogosławiona cisza.

Jak zwykle, gotujesz coś dla mnie i dla licznej rodziny. Gdzie jest ojciec, stryjowie, ciocia, babcia, pradziadek? Pamiętasz, jak spotykaliśmy się w takim gronie? Jak było wesoło? To było zanim zaczęliście umierać, wy, stara gwardia. Podobno w ostatnich dniach życia powiedziałaś: *Trzymaliśmy się niezłe, ale jak zaczęliśmy padać, to jak muchy.*

Zastanawiam się, czy to był pierwszy raz, gdy powiedziałaś te słowa.

Dziękuję, że znowu przyszedłaś i znowu dbasz o swoją wielką rodzinę, troszczysz się o nią, wielka matriarchini rodu, za długim stołem przykrytym obrusem z białej koronki. Ale gdzie jest reszta rodziny? Wyszli na spacer? Dobrze. Nie powiem nic – twoja obecność na moich ustach, błogosławiona cisza – ale mam nadzieję, że to wyczujesz. Chwile, gdy zostawałam z Tobą sam na sam mają szczególne miejsce w moim sercu.

Nie znałam Cię dobrze, odeszłaś zbyt wcześnie. Choć raczej ja przyszedłam zbyt późno, ty miałas za sobą długie życie. Ale nawet teraz, po długich latach, czuję niewytłumaczalną więź z Tobą. I tyle miłości, że czasami uginam się pod jej ciężarem. Powiedz mi, czy jesteś przy mnie, gdy nie śnię?

Pamiętasz, jak poszliśmy razem do parku? Trzymałaś mnie za rękę i kupiłaś mi lody. Nazywałyśmy wiewiórki i planowałyśmy wspólnymi siłami napisać powieść. Miałam kilka lat, a już czułam przyciąganie słów i fraz. Siedziałaś na ławce przy Posągu Białej Damy, gdy ja biegałam wokół fontanny, krzycząc i śmiejąc się z bandą przypadkowych kompanów. W pewnym momencie potknęłam się, upadłam i rozerwałam rajstopy na kolanie. Pobrudziłam spódniczkę, z której byłam bardzo dumna, podobno wyglądałam w niej jak dama. Szybko znalazłaś się przy mnie, podniosłaś, otrzepałaś z piachu i kamyków. Podprowadziłaś mnie do ławki i posadziłaś obok siebie. Z torebki wyjęłaś chusteczki i buteleczkę wody utlenionej.

– Nigdzie się bez niej nie ruszam. – wyszeptałaś konspiracyjnym tonem.

Przemyłaś mi kolano, zapiekło. Zapłakałam jeszcze bardziej. Łzy wymieszały się z piaskiem na moich policzkach.

– Ćśś, nie płacz. – wycierałaś mi oczy chusteczką. – Uważaj, bo jeszcze wetrzesz sobie ten piach pod naskórek i zostanie ci tak na zawsze. Moja siostra tak miała. Ubrudziła się sadzą i wtarła ją sobie tak głęboko, że przeniknęła w głąb skóry i została na zawsze. Nie mogła jej zmyć. Rozpaczwała, że będzie wiecznie oszpecona i nigdy nie znajdzie ukochanego.

Przerwałaś.

– I co, co się z nią stało? – spytałam zaciekawiona. Już nie płakałam.

Chwila milczenia.

Twój smutny uśmiech i wzrok utkwiony w bliżej nieokreślonym punkcie podpowiadał, że w tej historii było jakieś drugie dno.

– Porwał ją królewicz i zabrał do pięknej krainy, gdzie jest bardzo szczęśliwa.

Nawet wtedy wiedziałam, że kłamiesz.

Pamiętasz to, babciu?

Dziękuję, że znalazłaś czas, by trochę ze mną pobyc. Bardzo mi jest ciężko. Żałuję, że nigdy nie mogę się do Ciebie przytulić.

We śnie nastawiasz wodę na herbatę. Całe ciało skręca mi się ze smutku. Wiem, że sen niedługo się skończy. Nie możemy zasiąść do herbaty. Tym razem nie pokarzesz mi swojej twarzy – pajęczyny zmarszczek, nie usłyszę twojego głosu. Nie tym razem, nie w tym śnie. Chciałabym być w tym miejscu zawsze. Zatrzymać chwilę w czasie, zamrozić ją. Ja, leżąca w białej, pachnącej pościeli. Piasek na podłodze. Światło tańczące na ścianie,

wpadające do pokoju przez brudne szyby. Ty w kuchni. Ciche porozumienie. pomiędzy nami. Więż, której nigdy nie zrozumie.

Przecież nawet tak dobrze Cię nie znałam.

Sen się kończy.

Siostra babci nigdy nie wyszła za mąż. Nigdy nie pozbyła się plamki czerni spod skóry. Niecały miesiąc po tym, jak wtarła sobie sadzę w policzek, jej drobne, dziecięce ciało zostało złożone w jakimś wspólnym grobie.

Babcia odeszła, gdy miałam dziesięć lat. Miała długie, spełnione życie – mówił urzędnik przeprowadzający uroczystość.

Było długie, nie wiem na ile spełnione – dodaję w myślach, po latach.

Babcia żyła w cieniu klątwy ocalenia – jako jedyna ze swojej rodziny uniknęła całopalenia. Na ile jej późniejsze szczęście, nowa rodzina, małżeństwo, dostatek, zdołało wynagrodzić jej niewyobrażalne cierpienie? Czy życie może być spełnione, gdy u samego początku zostało wyrwane z korzeniami i rzucone na kawałek nagiej skały? Fakt, że przetrwało – korzenie wczepione w szczeliny skalne, tworzące skomplikowaną siatkę; sięgają płytko – to kwestia instynktu bardziej niż zaplanowanego działania. Czy rośliny wysoko w górach czują się spełnione, gdy przychodzi ich czas? Nigdy nie były polnym kwiatem. Jednak w ich trwaniu, cyklu ich życia, coś się dopełniło.

To nie jego miejsce, myślę o urzędniku. To nie jego miejsce, by oceniać jakość życia babci.

To jego praca – po chwili przychodzi myśl. Tak, to prawda.

Wracam do tego dnia, do pogrzebu.

Plakałam przez całą ceremonię. Wiedziałam, że coś tracę, ale nie wiedziałam co. W pewnym momencie zaczęłam kasłać, zdarte gardło próbowało zaprotestować dalszym łzom. Kuzynka taty podeszła do naszej rodziny,

– Mam pastylki na gardło – powiedziała.

Po chwili słodka pastylka ziołowa rozpuszczała mi się w ustach. Jakie to dziwne, pomyślałam. Życ dalej, gdy ktoś inny już nie żyje. Spać, jeść, kupować w sklepie pastylki na gardło.

Teraz widzę życie, historię świata jasno. To bieg, wyścig. Wszyscy gdzieś biegniemy, w luźnych grupach, ale tak naprawdę samotnie. Podczas wyścigu po kolei odpadają kolejni zawodnicy. Chorzy. Starzy. Zdrowi. Dzieci. Upadają, rozpryskując wokół siebie błoto. Wzory

błota na ich twarzach wyglądają jak bojowe zdobienia pierwotnych wojowników. Ci, co upadli, na zawsze zostają w ziemi.

Babcia upadła po bardzo długim i ciężkim biegu. Trumna powoli niknęła w ciemnej dolinie grobu.

Wydaje mi się, że marnuję swoje życie. Tyle we mnie jest smutku i złości. A przecież życie w tym współczesnym świecie powinno być takie łatwe. Nikt nie podcina mi skrzydeł, nikt nie mówi, gdzie mam iść, jak mam żyć. Mam tyle możliwości, mam środki, by się rozwijać. A ja stoję w miejscu, mieszkam w skorupce, wygodnej i cieplej, której ściany widziały każdy mój upadek.

Czuję, że nie mam celu w życiu, objam się to o jedną ścianę skorupki, to o drugą. Czasem, szczególnie w obecności czegoś wyższego, co udało mi się do tej pory znaleźć tylko w literaturze, ściany się rozstępują i na ułamek sekundy ukazuje mi się widok na coś więcej. Nigdy nie umiem określić, co widzę, ale wiem, że jest wspaniałe. Moje serce wyrywa się do tej przestrzeni poza skorupką. Ale potem ściany znowu mnie otaczają, zasłaniając widok. Muszę tę przestrzeń kochać, nosić ją w sobie, inaczej całe to życie niewarte jest zachodu.

Myślę, że wszyscy inteligentni ludzie z mojego pokolenia chorują na depresję do tego stopnia, że to nie jest już choroba. To stan rzeczy, stan trwały i niezmienny.

I kiedy upadam, bezgłośnie na łóżko, albo kiedy czuję, że już dłużej nie pociągnę, ale zawsze pociągam dłużej, coś w głowie szepcze: *zawodzisz*.

Współczesny, wspaniały świat. Tyle możliwości. A ty wymyślasz sobie problemy. Czym jest twój brak celu w porównaniu do piekła, które było udziałem babci? Jest tylko jedna prawdziwa odpowiedź. Mój smutek jest niczym. To stwierdzenie umniejsza moje cierpienie, ale zgadzam się na to. Moje cierpienie jest prawdziwe. Ale obiektywnie rzecz biorąc, jest tysiącrotnie mniejsze od cierpienia ofiar wojen.

Druga w nocy. Nie śpię, znowu płakałam nad jakąś głupią rzeczą, czymś słowem lub brakiem słowa, nieważne. Później płakałam nad całym swoim życiem.

Nie powinnam, przecież mam w życiu wszystko.

Poczucie winy.

Przepraszam za swoje smutne serce.

Babcia, właściwie prababcia, miała bardzo bliską relację ze swoją jedyną córką, moją prawdziwą babcią, którą ja od zawsze nazywałam po imieniu, Hanna. Tylko z nią rozmawiała o wojnie. I może jeszcze ze swoim mężem, ale to zrozumiałe. On też wiele wycierpiał, więc

jej własna tragedia nie otworzyła nigdy przepaści pomiędzy nimi. Kiedy Hanna podrosła, w przeciwieństwie do swoich braci, miała wiele pytań. Zaczęła je zadawać i początkowo spotkała się ze ścianą milczenia, zmieszaniem.

Nic nie mogłam z niej wyciągnąć – wspominała po latach.

Później się coś zmieniło. Jednego wieczoru, gdy męska część rodziny, pradziadek z dwoma synami, wyjechali na dwudniową wycieczkę, babcia nareszcie się otworzyła. Opowiedziała swojej córce całą swoją historię, nie ukrywając niczego. Jesteś już duża, zasługujesz na prawdę – stwierdziła. Kiedy babcia wspominała swoją małą siostrę, wspomnienie zламаło ją. Złamało też Hannę. Osunęły się na podłogę i długo płakały, gładząc nawzajem swoje włosy i ocierając łzy, które jednak ciągle i ciągle napływały, nie mogąc przestać.

Gdy płacz ucichł, babcia powiedziała jeszcze trochę. Rozmawiałam o tym z Hanną, wiele lat później. Babci nie było już na świecie. Ja kończyłam liceum. Hanna rozumiała moją potrzebę poznania babci. Zdradziła mi sekrety jej życia.

Siostra babci, mała tancerka. Aktorka, słońce. Ulubienica rodziny, dziecko o jasnym sercu. Marzyła o byciu tancerką, ale wobec sprzeciwu rodziców zgodziła się na kompromis – będzie pianistką. Jej drobne palce znały sekretne przejścia i skróty, tańczyły po klawiszach pianina. Grała pięknie, z wirtuozerią. Mały Mozart – kolejny przydomek nadany martwej dziewczynce, kiedy była jeszcze pełna życia.

Moja babcia była Żydówką.

Jej siostra umarła w getcie na tyfus.

Babcia była wtedy bardzo daleko od swojej rodziny. Gdzieś pod Lwowem. Pod inną okupacją.

Było między nimi kilka lat różnicy. Nie były blisko, nie znały się dobrze. Nawet przed tragedią babcia była zamknięta w sobie i wycofana, w przeciwieństwie do kipiącego życiem Małego Mozarta.

Hanna cytuje słowa babci:

– To było właśnie najgorsze. Świadomość, że tak naprawdę nie kochałam zbytnio swojej małej siostry. Była odległa, obca. Nie mogłam przejść żałoby w pełni, wечно w stanie bólu o umiarkowanej sile. Ale później odkryłam wyjście się z tej sytuacji. Muzyka. Pianino. Jedyny sposób na zrozumienie, choć częściowe, mojej małej siostry. Jedyny sposób na zatrzymanie odrobiny jej ducha na tym świecie. Powinna mieć długie, szczęśliwe życie. Zasługiwała na nie bardziej niż ja. Ja zawsze byłam chłodna, wycofana. Ona nigdy. Ona to

wchłaniała ten świat całą sobą. A potem przyszła starość i artretyzm, nie mogę już grać. Straciłam jedyne połączenie z siostrą. Może to znak, że powinnam się już przenieść na tamten świat. Dołączyć do niej.

Podziękowałam Hannie za opowieść. Rozmawiałyśmy o traumie. Spytałam się, czy ciężko było być dzieckiem tuż po wojnie, w domu pełnym duchów. Ona uśmiechnęła się smutno i powiedziała, że cały świat jest przecież zbudowany na grobach. Hanna jest emerytowaną profesorką historii.

– Nigdy nie było mi ciężko być jej córką. – dodaje. – Nic na mnie nie przerzucała. Sama też nie ugięła się pod smutkiem. Była silna.

Przytaknęłam i zaczęłam zbierać się do domu. Kiedy weszłam do mieszkania, szybko zdjęłam buty i płaszcz, rzuciłam torbę w kąt pokoju i wyciągnęłam notatnik. Wszystko spisałam, zamknęłam zeszyt. Dopiero wtedy przyszły łzy. Nadpłynęły cichą falą, ich impet stłumiony przez ilość lat, która upłynęła od śmierci Małego Mozarta.

W trzecim śnie siedzimy z babcią na werandzie działki mojego wujka. Babcia odwiedziła to miejsce tylko dwukrotnie, niedługo po zakupie domu, później zdrowie nie pozwalało jej na podróże.

Jest jesień. Na drzewach mieszają się odcienie zieleni, żółci, brązu i czerwieni. Październikowe słońce chyli się ku zachodowi. Cienie wydłużają się, a z cieni wypęła wieczorny chłód. Kruche kości babci okryte są wełnianym swetrem. Ramiona owinęła sobie brązowym kocem w kratkę. Czyścimy grzyby, które rodzina zebrała wcześniej w lesie. Pędzelkami usuwamy ziarenka piasku, igły, kawałki mchu. Kroimy borowiki w cienkie plasterki, które później spoczną na kratce nad piecem i będą się suszyć. Po dwóch wieczorach suszenia wylądają w słoiku, gdzie zostaną aż do grudnia, kiedy ciocia zacznie przygotowywać z nich zupę grzybową.

– Dużo o Tobie myślę ostatnio. – zaczynam rozmowę.

Jej uśmiech jest jedyną odpowiedzią.

– Zastanawiam się, jaka byłaby nasza więź, gdybym była twoją wnuczką, a nie prawnuczką. Gdybym znała cię lepiej. Czy byłybyśmy blisko?

– Jesteśmy blisko.

Kiwam głową, to prawda. Zawsze to czułam. Niewytłumaczalna więź. Spokój, który odczuwałam przebywając z nią sam na sam.

– A jednak nie mogę przestać o tym myśleć. Żałuję, że tak mało czasu mogłam z Tobą spędzić.

Babcia kręci głową.

– Może byłybyśmy bliżej. Może wręcz przeciwnie. Może nic by się nie zmieniło. Żal... trzymaj się od niego z daleka. Nie ma sensu roztrząsać rzeczy, na które nie masz wpływu.

Chwila ciszy, podczas której słycać tylko odgłos nożyków krojących grzyby.

– Babciu... przepraszam za swoje smutne serce.

Babcia patrzy mi w oczy, uważnie. Wie o co mi chodzi.

– Czuję, że moje życie jest aktem niewdzięczności. Jakbym nie umiała docenić szczęścia, w jakim się znalazłam. To swego rodzaju skaza na pamięci tych, którzy cierpieli naprawdę.

Babcia kiwa głową, wzrok przeniosła z powrotem na swoje dłonie (stare, poskręcane, ale nadal pracujące szybko i metodycznie). Kolejne borowiki trafiają w plastrach do szklanej misy na stole.

– Gen wrażliwego ducha – odzywa się po chwili. – nigdy nie był moim udziałem w dużym stopniu. Po wojnie całkowicie go zatraciłam. Ale widocznie po cichu przeniknął w dół pokoleń. Mają go moje dzieci. I ich dzieci. I ich dzieci. I pewnie one przełożą go dalej. Ukrył się w tym, no, D-N-A (wypowiada ten termin niepewnie, dla niej teren odkryć naukowych na zawsze pozostał czymś zagadkowym) i płynie wraz z czasem, coraz dalej.

Wierzę jej. Wierzę jej bardziej niż sobie, z magistratem chemii medycznej i umysłem, który szepcze: to tak nie działa.

– Masz w sobie miękkość i żal mi ciebie, nie w złym sensie. Boję się po prostu, że życie, które dla kogoś twardszego byłoby łatwe i przyjemne, dla ciebie pozostanie słodko-gorzkie. Smutno mi na myśl, że to cierpienie byłoby do uniknięcia, gdybyś tylko była inaczej ukształtowana. Ale wtedy byłabyś kimś innym.

– Mogę być tylko sobą. – mówię smutno.

– Wiem. Kocham Cię taką. – patrzy na mnie ciepło. – I być może, koniec końców, ta wrażliwość jest jednak błogosławieństwem. Bo oznacza to, że będziesz żyła dogłębniej.

Westchnienie.

– Nie tak jak ja. Zza szyby.

Po chwili zmienia się sceneria, szybko, jak to w snach bywa. Nie wiem, gdzie jesteśmy, widzę tylko jasne niebo i twarz babci przed sobą. Dotyk chropowatej dłoni na moim policzku. Widok jej twarzy: najpiękniejsza siateczka zmarszczek. Najczulsze oblicze starości.

– Cierpienie to nie wyścigi. – mówi. – Twój ból jest twój. Ja miałam inny. Nikt z nas nie jest wolny od bólu.

Oddalam się od niej i od jej słów. Sen się kończy. Niedługo się obudzę.

Nie mogłam przejść żałoby w pełni, wiecznie w stanie bólu o umiarkowanej sile

Płaczę, gdy przypominam sobie te słowa. Poprzez łzy, coś dostaje się pod skórę.

Zostanie tam na zawsze. Ziarenko piasku.

Zasypiam. Odpływam w spokojną krainę. Wiem, że nie spotkam już babci.

Pożegnałam ją. Dałam jej odejść. Zaczynam zapominać rysy jej twarzy. Ale zawsze jest przy mnie.

Po śnie przychodzi rzeczywistość.

Krwawy świt nad Kijowem.

Codziennie rozpoczynam poranek od płaczu przed ekranem komputera. Załamania nadchodzą falami, zaskakują mnie w połowie drogi między kuchnią a sypialnią. Upuszczam kubek z herbatą, dłoń nagle staje się bezwładna. Palce tracą swoją siłę, a za nimi traci siłę całe ciało.

Świat zawiódł babcię po raz kolejny, nawet po jej śmierci.

Niosę na jej grób kwiaty. Siadam na niskiej ławeczce i załamuję ręce, łzy znowu spływają mi po policzkach. Dużo ostatnio płaczę.

Babciu, babciu! Czemu znowu Cię zawiedliśmy?

Ziarenko piasku pod skórą.

Kładę bukiet na grobie, pod jej czarno-białą podobizną z lat 90. Kwiaty, dar prześlągalny. Próba zadośćuczynienia krzywd.

Słyszę w głowie jej głos: *Kwiaty nie wystarczą.*

Wiem, babciu.

Kwiaty nigdy nie wystarczą.

Zapadam się w siebie.

Ale potem przed oczami staje mi jej twarz. Wszystkowiedzący uśmiech, mrugnięcie.

– Kwiaty nie wystarczą, ale jestem twarda. Przetrwam. W końcu całe życie przeżyłam skryta za szybą.

Za szybą...

– Teraz czuwam nad światem zza innej szyby. Jest jeszcze twardsza, mocniejsza.

Mniej przejrzysta.

Przeciągam dłonią po gładkiej powierzchni płyty nagrobnej.